

MAGDALENA KIEŁBOWICZ

Które na Różanę?

ILUSTRACJE
KASIA KOŁODZIEJ

KROPA





MAGDALENA KIEŁBOWICZ

Które dy na Różana?



KROPKA

SĄSIEDZKA PRZYSŁUGA

Czarodziej Marceli miał piękny sen. Przyśniło mu się, że zwycięża w Wielkim Konkursie Hodowców Dyń, uczestnicy wiwatują na jego cześć, a na scenie czeka na niego główna nagroda – puchar z pracowni Heliodora Huka. Sen był tak niezwykły i jednocześnie tak prawdziwy, że ktoś, kto zapukał do drzwi, musiał zapukać jeszcze raz, a potem kolejny, zanim usłyszał niewyraźne:

– Kto tam?

Nikt nie odpowiedział, tylko stara sroka Marianna zaterkotała coś jak zwykle sama do siebie, przeskakując po gałęziach w górę świerku.

– Chyba mi się przyśniło – uznał świeżo upieczony Hodowca Roku, odwrócił się na drugi bok i zasnął.

Błyskały flesze, wirowało konfetti, puchar czekał. Wzruszony czarodziej uklonił się publiczności i uściśnął rękę sędziego. Rozległy się brawa, a zaraz po nich domem zatrzęsło kolejne pukanie.



– Litości! – jęknął Marcelli, sięgnął po okulary i z posępną miną ruszył w stronę drzwi.

Za progiem jak okiem sięgnąć nie było nikogo. Poza mrówką wędrującą po futrynie.

– Czy to ty pukałaś? – zapytał Marcelli.

– Czy to JA pukałam? – Mrówka przystanęła, zaskoczona. – A czy twoim zdaniem wyglądam jak słoń?

– Rzeczywiście, nie wyglądasz... Ale skoro nie ty, a poza tobą nikogo tu nie ma, to kto w takim razie?

– Nie wiem. Nikogo nie widziałam. Poza tym to nie było pukanie. Ktoś walił z całej siły! Omal nie spadłam na ziemię! Naprawdę karygodne, żeby tak traktować innych. Mrówki są pod ochroną i trze...

– Czyli co, czary? – myślał głośno Marcelli, całkowicie pochłonięty tajemniczym hałasem.

– Czary w domu czarodzieja? – zdziwiła się mrówka. – Nie-możliwe!

Marcelli zamierzał coś dodać, i może nawet chwilę porozmawiać, ale mrówka najwyraźniej nie miała na to ochoty. Obejrzał więc teren przed furtką i grządki za domem, zajrzał, gdzie tylko się dało, nawet w wysokie krzaki paproci przy płocie. Wszędzie tam trwał właśnie spokojny wtorkowy poranek, jakie zwykle trafiają się na ulicy Różanej, przy której mieszkają czarodziejki

i czarodzieje. Można by uznać, że pukanie po prostu mu się przyśniło, gdyby nie mrówka, która przecież „omal nie spadła na ziemię!”.

Wiatr zrzucił kilka szyszek, zakręcił nad parkiem i przyniósł zapach grzanek. Śniadanie! To była myśl. Tym bardziej że marsz głodomorów w jego własnym brzuchu coraz mocniej przypominał fanfary na cześć Hodowcy Roku.

– Ech... – westchnął z żalem Marceli. – Co za sen! Puchar od Huka! Szkoda, wielka szkoda...

Nie był to jednak odpowiedni moment na grzanki i podwójną kawę z pianką. W kuchni działały się właśnie bardzo dziwne rzeczy. Tom trzeci *Poradnika hodowcy* odsunął się na brzeg stołu, ołówek podskoczył i zaczął pisać na kawałku kartki wystającej z szuflady. Samopiszące ołówki to rzadkość nawet w świecie czarodziejów, dlatego Marceli zbliżył się ostrożnie, na tyle, żeby coś odczytać.

„To ja, Baltazar!” – nabazgrał ołówek. „Zaplątałem się w pelearnę niewidkę. Zaraz wszystko wyjaśnię. Pomocy!”

Baltazar był sąsiadem i przyjacielem Marcelego. Mieszkał na przeciwko, w Muzeum Czarów, którym się opiekował. Miał żonę Helenę, troje dorosłych dzieci, małą wnuczkę Antosię, tysiące niestworzonych pomysłów oraz naprawdę wyjątkowego pecha, który nigdy go nie opuszczał.

– Peleryna niewidka? – zdziwił się Marceli, ściągając z sąsiada kawałek przezroczystego materiału.

– Co za historia! Nie uwierzysz! – odezwał się Baltazar we własnej osobie. – Tosia ma kilka dni ferii i jest u nas od wczoraj. Bardzo chciała pobawić się w chowanego, a że wszyscy używają teraz tylko tych aplikacji do czarowania, uznałem, że lekcja historii nie zaszkodzi i stara niewidka będzie jak znalazł. Ledwo zniknąłem, natychmiast poplątały mi się sznurki. Ten egzemplarz jest chyba starszy, niż przypuszczałem! Będę musiał sprawdzić w archiwum. Pech chciał, że Helena wyjechała, dlatego przybiegłem do ciebie. Dziękuję ci, przyjacielu, co ja bym bez ciebie zrobił?



– Polecam się na przyszłość – zapewnił Marceli, chociaż prawdę mówiąc, wolałby rzadziej wyciągać sąsiada z kłopotów.

– A widzisz, widzisz! – ucieszył się Baltazar i ściszył głos. – To się nawet dobrze składa. Tosieńka nigdy nie latała na miotle. Znalazłem ostatnio w zbiorach całkiem sprawny model, brzozowa, na oko pięćsetletnia. Chcemy spróbować przelecieć się kawałeczek, o tu, niedaleko. Zawsze jednak lepiej mieć kogoś w pobliżu.

Marceli patrzył, jak sąsiad przebiega przez ulicę i znika w drzwiach swojego domu. Z okna na parterze uśmiechała się do niego dziewczynka. Pstryknął palcami i po chwili w niebo wzbiła się chmura baniek mydlanych, która utworzyła mrugający kolorami napis: „Dzień dobry, Tosiu!”

– Straszne! – odezwała się tuż obok mrówka. – Po prostu straszne! Co to za nedorzeczny pomysł, żeby wozić dziecko na miotle? Miotły są zabronione. Już dawno uznano je za zbyt ryzykowny środek transportu. Nikt rozsądny nie lata na miotle, i to z dzieckiem na dodatek. Macie naprawdę wielkie szczęście, że mrówki nie wtrącają się w cudze sprawy, bo byłyby z tego kłopoty.

Marceli przyglądał się mrówce z powagą. Było w niej coś irytującego i sympatycznego zarazem. Z jednej strony wzbudzała dziwny niepokój, z drugiej – miała przecież rację. Przede wszystkim ciekawiło go jednak, skąd się tutaj, do licha, wzięła.



– Zastanawiam się, jak to możliwe, że ktoś, kto nie wtrąca się w cudze sprawy, tak świetnie się w nich orientuje – powiedział w końcu najuprzejmiej, jak potrafił.

Mrówka pokręciła tylko głową z politowaniem i ruszyła w dalszą drogę.

PECH & SPÓŁKA

– Aaa psiiiik! – Głośne kichnięcie strąciło grad szyszek.

Sroka Marianna zaterkotała rozpaczliwie i Marceli, który zamierzał w końcu zjeść śniadanie, a potem, jeszcze przed pracą, podlać grządki z dyniami, pomyślał, że na przyszłość nie należy lekceważyć ptaków. Czas naglił, Marceli był fontannikiem, opiekunem fontanny, i jak w każdy wtorek spodziewał się trudnego dnia w pracy. Coś mu jednak mówiło, że to nie koniec przygody z peleryną Baltazara, a Marianna od początku próbowała go ostrzec. Podszedł do świerków przy płocie, skąd dochodziło kichanie. Spomiędzy gałęzi spoglądały na niego czyjeś oczy.

– Aaa psiiiik! – kichnęły oczy.

– Przepraszam, czy mogę w czymś pomóc? – zapytał niepewnie Marceli.

Trochę trwało, zanim postać w eleganckim garniturze zeskokczyła na ziemię, strzepnęła starannie resztki igliwia i prezentując

świetne maniery oraz paskudnie zakatarzony głos, odparła uprzejmie:

– Niestety, to alergia na świerk. Nic się nie da zrobić. Próbowałem już chyba wszystkiego. – Postać wyciągnęła w stronę Marcelgo dłoń z wizytówką.

– Dzień dobry. Nazywam się Pech. Maksymilian Pech. Proszę wybaczyć, że wszedłem na pańskie drzewo bez pytania. Chodziło o klienta.

– O klienta?

– Jeszcze raz się przedstawię. Moje nazwisko Pech. Max Pech, firma Pech & spółka. Zajmujemy się kompleksową obsługą niepowodzeń.

– A tak... – Marceli doskonale wiedział, kim jest Pech, ale wolał się z tym nie zdradzać. – Zdaje się, że o was słyszałem – dodał chłodno.





– Bardzo możliwe – ciągnął Pech, niezrażony. – Jesteśmy światową, rozpoznawalną marką.

– I co z tym „klientem”, jak pan to ujął?

– Chodzi o Baltazara. Był i nagle zniknął, po prostu się rozpułynął. Wszedłem na drzewo, żeby się rozejrzeć.

– Moglibyście wreszcie zostawić go w spokoju – zirytował się Marcelli, rezygnując z dalszego udawania.

– Jak to: MY? – zdziwił się Pech. – To jakieś nieporozumienie. Pech & spółka nigdy nie narzuca się ze swoją ofertą. Baltazar to nasz stały klient, i to raczej on nie daje nam od siebie odpocząć. W dodatku gra nieuczciwie i kłamie.

– Kłamie!

– „Pech chciał, że Helena wyjechała”. Czy nie tak powiedział? A to nieprawda. Nie ma na świecie takiego Pecha, który mógłby wpłynąć

na zamiary żony Baltazara. Pani Helena Dereń to kobieta sukcesu. Przeszkody traktuje jak wyzwania. Zapewniam pana, próbowaliśmy wiele razy. Tacy klienci są po prostu nieopłacalni. Przyznaję, to ja poplątałem sznurki starej peleryny, ale gdyby Baltazar nie narzekał, że „są pechowo postrzępione”, nie zwrócilibyśmy na niego najmniejszej uwagi. Zawsze powtarzam: „Pech jest jak magnes”. To nasze hasło reklamowe. Zjawiamy się tam, gdzie dużo o nas myślą. Kto wciąż się boi, że Pech pokrzyżuje mu plany, niech się potem nie dziwi, że tak się stało. Aaaaaa psiik!!!

Trudno było nie zgodzić się z Pechem. Paskudnie kichał, ale najwyraźniej znał się na interesach. Tak to właśnie działało, za dużo wątpliwości – i nieszczęście gotowe. Myślenie o porażce często kończyło się porażką. Ile to już razy sprawy potoczyły się dokładnie tak, jak się tego obawiał? Pech wolał towarzystwo wątpliwości i omijał pewnych siebie, a nawet jeśli czasami trochę im poprzekadzał, i tak w końcu osiągali swój cel. Marceli miewał chwile zwątpienia i Pech, jakby czytając w jego myślach, od razu skorzystał z okazji.

– A jak tam dynie w tym roku? – zapytał troskliwie. – Planuje pan może jakieś nowe eksperymenty?

– Późno już – uciął Marceli.

– Ach! – domyślił się Pech. – Rozumiem. Ciągłe gniewa się pan o ten wybuch i spaloną brodę? Naprawdę nie mieliśmy

wtedy wyboru. Pech jest jak magnes, stanowczo za mocno się pan bał.

Marceli miał w tej sprawie odmienne zdanie, pełne bardzo nieeleganckich wyrazów, których zazwyczaj starał się unikać. Pech jednak w samą porę postanowił się pożegnać. Wygładził garnitur, poprawił guziki przy mankietach i przystanął na chodniku.

– Jeszcze raz przepraszam i proszę pamiętać: „Co złego, to nie my. To złe, co sobie sam wymyślisz”. To nasze nowe hasło reklamowe. Przygotowujemy właśnie ofertę na kolejny sezon. Do widzenia!

Samo wspomnienie dnia, w którym na zawsze stracił brodę, wywołało nieprzyjemny ucisk w żołądku Marcelego. Oczywiście, że zdarzały mu się wcześniej nieudane eksperymenty, nigdy jednak aż tak przykre w skutkach. Broda stanęła w płomieniach i w jednej chwili zniknęła na zawsze. Bez brody czarodziej wyglądał, jakby nie był czarodziejem. Podobno tracił też część swojej mocy, chociaż Marceli nie zauważył na razie nic niepokojącego. Brak mocy nie byłby zresztą taki straszny. Najgorsze, że wszyscy wokół pytali wciąż, co się stało, czy jest mu przykro i czy broda odrośnie. Brody nie było, a i tak nie dawała o sobie zapomnieć.

Marceli upewnił się, że furтка jest zamknięta, i na wszelki wypadek wzmocnił ją jakimś zaklęciem ochronnym.



– Jasne! – ucieszyła się mrówka. – Broda! Czułam, że coś tu nie pasuje. Czarodziej bez brody! Każdy czarodziej ma przecież długą brodę.

– Jak widać, nie każdy – mruknął pod nosem Marceli.

– Naprawdę znasz bajkę, w której dorosły czarodziej nie ma brody?

Marceli nie znał takiej bajki, ale był już tak głodny, zrezygnowany i zły, że bez słowa zniknął w głębi domu.

– No proszę – dodała mrówka. – Ani brody, ani kultury.

